

Gazeta Krakowska

KRAKÓW, ul. Wielopole Nr 1

magazyn

wydanie

Nr 143 z dn. 17-06-73

ODKRYCIA SCENICZNE mamy różne. Co, oczywiście, nie jest myślą odkrywczą. A nawet można powiedzieć: jest banałem. Ale, w końcu, nie idzie tu o snucie tzw. złotych myśli. Sprawa bowiem sprowadza się do zebrania paru nieskomplikowanych obserwacji naszej teatralnej rzeczywistości. Otóż na tle porównań kilku zjawisk wynikających z gorączkowo jakby prowadzonych poszukiwań czegoś nowego, a przynajmniej mało znanego, w dramaturgii — dałoby się wybrać dość pouczające przykłady ambicji przesadnych i ambicji po prostu zdrowych.

Jerzy Bober

PRZYGODY (nie tylko) WENECJANEK

TEATR

Wystarczy trochę popodróżować w rejonie Wielkiego Krakowa, od teatrów w centrum miasta do Teatru Ludowego w Nowej Hucie, żeby przekonać się, jak pewne odkrycia archiwalne rozwiewają złudzenia samych odkrywców — i co z tego zostaje dla widzów. Dla tej widowni, która miała zachłysnąć się pomysłem dostarczania jej takich wrażeń, o jakich nawet nie śniła.

Okazuje się jednak, że warto pojechać do Tarnowa, żeby sprawdzić właśnie w Teatrze Ziemi Krakowskiej im. L. Solskiego odkrycie zabawnego tekstu dramatycznego, który jest akurat odwrotnością niezrozumiałego i znacznie mniej zabawnego utworu, granego na scenie nowohuckiej pod nazwą *Wesele hrabiego Orgaza*. Zaś w sposobie przypomnienia dawnej (z przymrużeniem oka) interpretacji teatralnej, chyba sensowniejszego od pomysłu — na serio — rekonstrukcji *Wesela*.

Jednakże nie tyle chodzi tu dosłownie o tarnowską wyprawę, ile o sam spektakl, pokazany w Krakowie przez zespół teatru z Tarnowa. Fakt, tym bardziej istotny, że właśnie wybór miejsca celem prezentacji *Miłości w Wenecji* — ma znaczenie pierwszorzędne dla sztuki oraz jej odbioru. Wybrano bowiem nie — jak to zwykle bywa — gościnę w którymś z teatrów krakowskich, lecz salę *Fontany Klubu Dziennikarzy* „Pod

Gruszką”. Co nam mówi nazwa sali? Ano to, że swym zabytkowym, włoskim wystrojem wnętrza może stworzyć — lepiej od niejednej dekoracji — klimat nieodzowny w tego rodzaju krotchwili XVI-wiecznej, z którą zetknął nas tarnowski teatr.

ODKRYTY DLA TEATRU tekst *Miłości w Wenecji* (czyli *Wenecjanki*) jest sztuką anonimową. Po ludowemu pieprzną, nie baczącą na wyrazisty morał, ale w dosadności obyczajowej wcale nie tak odległą od naszych czasów. Krotchwila ta obfituje w tzw. sceny łóżkowe, w grę namietności (nie tylko erotycznych), w miłość dla sportu, choć nie pozbawioną interesowności. Znaleźć tam można chęć przygód oraz dozę swawolnego cynizmu, które wyzwala w młodym człowieku łat-

weneckiej. Warto natomiast pomyśleć nad skutkami niefrasobliwych podróży w nieznane, gdy ludzie bez skrupowania bawią się w miłość. Związka w warunkach kiedy niemal co drugi człowiek (nie tylko młody) kursuje wszczędz wzdłuż kraju i lubi odgrywać rolę kawalera do wzięcia. Nie bez zachęty u płci przeciwnej a romansownej....

RZECZ JEST TEDY, oprócz pogrubiłonej warstwy farsowej, wycieniowana ze smakiem i dowcipnie brzmiąca w jedynym, literackim przekładzie *Jerzego Adamskiego*. Dysponuje ponadto walorem niebagatelnym — czytelnością pozbawioną uproszczeń. Ma tempo iście włoskie, gdyż reżyserował spektakl gościnnie przybyły z Italii, *Giovanni Pampiglione*, który przekazał aktorom szczyptę owej sprawności południowców, co znakomicie ożywia widowisko. Szkoda tylko, że w parze z gętkością akcji i osób komedii nie idzie jeszcze czystość dykcji. Nie jest to, niestety, sytuacja wyjątkowa, spotykana tylko na scenach tzw. prowincjonalnych. Mankamenty dykcyjne obserwuje się coraz częściej również w teatrach wielkich ośrodków kulturalnych. Ale na tle przedstawienia, gdzie występuje zaledwie sześciu aktorów i to bardzo blisko odbiorców — bo spektakl odbywa się dosłownie wśród publiczności — wady emisji głosu są przeszkodą nieznośną i szczególnie rażącą. W ten sposób ginie co najmniej połowa efektów scenicznych z widowiska, które ma wszelkie szanse, aby pozostawić efektowne wrażenia, i które byłoby świetną zabawą teatralną. A tak — jest tylko zabawą z ambicjami, świadczącymi o poszukiwaniach dobrego stylu sceny tarnowskiej.

WRACAJĄC JEDNAK do przedstawienia, trzeba powiedzieć, że aktorzy nadrabiali braki w dykcji dużą swobodą ruchową, świeżością i wdziękiem. Najbardziej dojrzałe zaprezentowała się *Jadwiga Lesiak* (Angela, wdowa) dobrane wypowiedzią kwestie opanowanej namietnościami kobiety, z lirycznym dystansem do „kupienia” sobie kochanka a może i męża. Młodego cudzoziemca, naiwnie przebiegłego grał *Krzysztof Stroiński*, na pewno utalentowany aktor, ale wykazujący jeszcze drobne braki warsztatowe — tu zastępowane żywiołowością. Wyrazistą sylwetkę gondoliera-cwaniaka stworzył *Wiesław Tomaszewski*. Byłaby to interesująca rola, gdyby jeszcze popracował nad dykcją. Te same wątpliwości budziły: *Elżbieta Eysymont* (Valeria, mężatka) oraz służące obu dam — *Janina Buławianka* (Nena) i *Lidia Holik-Gubernat* (Oria).

Bardzo prostą, a zarazem trafnie dobraną oprawę scenograficzną, utrzymaną w umownym stylu — z dwoma przeciwnymi „domami” weneckanek i środkowym podestem-łożem — przygotował *Jan Polewka*. Również kostiumy i drobne rekwizyty stwarzały zgrabną, kolorystycznie-żartobliwą kłamrę spektaklu. Ciekawie też brzmiała muzyka skrzypiec, skomponowana przez *Zygmunta Koniecznego*, a wykonywana przez *Walentego Kwapińskiego*.

W SUMIE — widowisko było odkryciem starego źródła filiternej zabawy; i na czasie, choć niby to czas odległy i troszkę, wydawałoby się, nieprzyzwyczajony. Ba, lecz nie udawajmy, że w naszej epoce potrzebne są przyzwyczajenia...